

Prywatna,
czyli...społeczna.
O Fundacji
Władysława i Nelli
Turzańskich.



Od prawej: Zbigniew Szymborski, Nelli Turzańska-Szymborska i Maria Nowotarska.

Edward Zyman (*Toronto*)

Dziś, gdy pisząc o Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich musimy używać czasu przeszłego, kronikarzowi kulturalnego życia polskiej społeczności w Toronto towarzyszy przeświadczenie, że była to instytucja, która istniała w nim od zawsze. Trudno sobie bowiem wręcz wyobrazić, by można było nie dostrzegać na obczyźnie potrzeby honorowania wysiłku pisarzy, naukowców, muzyków, przedstawicieli sztuk plastycznych, a więc tych, których twórczość zaświadcza o naszej kulturowej odrębności i niepowtarzalności, których dzieła, w

najtrudniejszym okresie politycznego zniewolenia kraju, były dowodem, że istnieje niezależna, wolna kultura polska i stanowiły źródło inspiracji oraz nadziei nie tylko dla polskiej diaspory, ale także społeczeństwa i twórców w kraju. Bez pisarstwa Miłosza i Czapskiego, Herlinga-Grudzińskiego i Wierzyńskiego, Lechonia i Balińskiego, Iwaniuka i Bobkowskiego, bez paryskiej „Kultury” i londyńskich „Wiadomości” trudniej byłoby pisarzom w Polsce zdobyć się na słowa protestu i sprzeciwu. Świadomość, że gdzieś w świecie istnieją nie podlegające totalitarnej cenzurze skupiska artystyczno-literackie i naukowe, że toczą się swobodne, nieskrępowane dyskusje i wychodzą książki wolne od brutalnych ingerencji opresyjnej władzy – dodawała otuchy, pozwalała przetrwać.

Działającą w latach 1988-2015 w Toronto Fundację stworzyli ludzie o skryształizowanych postawach i wyborach ideowych. Kpt. Władysław Grzymała-Turzański jako piętnastoletni chłopiec uczestniczył w wojnie 1920 roku, walcząc w kompanii szturmowej 29 Pułku Strzelców Kaniowskich. Dziewiętnaście lat później, po wkroczeniu wojsk sowieckich na tereny Rzeczypospolitej, dostaje się do łagru, który opuszcza po dwóch latach gehenny, wstępując do tworzącej się w Rosji Armii Polskiej. Następnie, po opuszczeniu Rosji wraz z wojskiem gen. Andersa bierze udział w kampanii włoskiej. Odznaczony Krzyżem Walecznych za bitwę pod Monte Cassino, kończy wojnę w

stopniu porucznika artylerii. Do Kanady przybywa w dniu 11 listopada 1948 roku wraz z kilkusetosobową grupą żołnierzy. Jest współtwórcą Stowarzyszenia Kombatantów Polskich w Kanadzie i współzałożycielem kombatanckiej kasy zapomogowo-pożyczkowej. W środowisku cieszy się wyjątkowym autorytetem i szacunkiem.

Jego żona, Nelli Turzańska z domu Barańska, od wczesnych lat związana z harcerstwem, tuż przed wojną podjęła pracę w Wojskowym Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie. W listopadzie 1939 roku wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej, przekształconego następnie w Armię Krajową. Podczas Powstania Warszawskiego walczy w zgrupowaniu „Róg” (batalion „Dzik”), w jednym z najtrudniejszych rejonów powstańczej Warszawy – na Starówce, skąd kanałami przedostaje się do Śródmieścia. Po upadku Powstania opuszcza Warszawę w szeregach AK i podejmuje udaną ucieczkę z transportu jenieckiego.

Po zakończeniu wojny, pracując zawodowo, rozpoczyna studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Łódzkiego. W dniu 20 lutego 1952 roku, będąc na ostatnim roku studiów, zostaje aresztowana za działalność w antykomunistycznej organizacji „Polski Front Ojczyźniany”. Skazana przez sąd wojskowy na osiem lat pozbawienia wolności, przebywa w więzieniach na Montelupich w Krakowie, w Grudziądzu i Fordonie. 20 maja 1955 roku, na mocy amnestii uzyskuje warunkowe zwolnienie od

dalszego odbywania kary. Po kilku latach starań, w maju 1958 roku opuszcza Polskę udając się do przebywającego w Kanadzie męża. Tu włącza się w nurt działalności niepodległościowej, zostając m.in. członkiem Stowarzyszenia Kombatantów Polskich w Kanadzie i Koła byłych żołnierzy Armii Krajowej. Wiele uwagi i troski poświęca kulturze polskiej.



Old Mill, 2008 r. Uroczysty wieczór 20-lecia Fundacji. Pani Nelli Turzańska-Szymborska i Zbigniew Szymborski w otoczeniu członków Rady Dyrektorów. Stoją od lewej (w pierwszym rzędzie): Marek Kusiba i Henryk Wójcik. W drugim rzędzie: Ewa Szozda, Tamara Trojanowska, Edward Zyman, Grażyna Kopeć.

Stworzenie Fundacji stanowiło spełnienie jednego z głównych celów życia fundatorów, którzy nie mieli wątpliwości, że w istniejących wówczas warunkach politycznych, kultura jest jednym z decydujących czynników, który stwarza Polakom możliwość zachowania tożsamości narodowej. Dla obojga, wymuszony splotem historycznych uwarunkowań, pobyt poza krajem był stanem aktywnych zabiegów o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą. Podzielając dążenia poważnej części emigracji żołnierskiej, mieli pełną świadomość negatywnych konsekwencji wydłużającego się pobytu na obczyźnie. Wiedzieli – co na początku lat pięćdziesiątych sygnalizował w swej publicystyce Juliusz Mieroszewski – że każdy kolejny miesiąc i rok emigracyjnej egzystencji to dokonujące się wbrew własnej woli oddalenie od kraju. Życia bowiem nie można zastąpić najszlachetniejszą nawet ideą. Jego realia dyktują konieczność tworzenia „organizmu o własnym krwiobiegu, o własnych sprawach, ambicjach i planach”. Te słowa zaczerpnięte ze szkicu „Finał klasycznej Europy” mówiły o przekształcaniu się emigracji w Polonię, jako nieuchronnym procesie zmian, którym poddawane jest i będzie środowisko wojennego uchodźstwa. W tej sytuacji obrona – użyjmy celnego określenia prof. Janusza Kryszaka – zagrożonego kodu kulturowego, stanowiła podstawowy warunek zachowania autentycznej komunikacji z krajem. Jak się miało okazać, funkcja ta nie straciła swej ważności również w zmienionej konfiguracji politycznej. Nowa sytuacja polityczna po 1989 roku zniosła bowiem co prawda

sztuczny i szkodliwy podział na twórczość krajową i emigracyjną, nie zmieniła wszakże realnego faktu, jakim jest istnienie wielomilionowych skupisk polskich na obczyźnie. Ich żywe zainteresowanie losem Polski, duchowe uczestnictwo w przejawach jej kultury jest sprawą niezwykle istotną dla obu stron. Twórca żyjący z dala od ojczyzny w sposób naturalny poszukuje odbiorcy w kraju, dla twórcy mieszkającego w Polsce – promocja jego dzieł na obczyźnie i wyraz uznania dla jego pracy dobiegający z dalekiej emigracji ma wartość szczególnie inspirującą.

Z przyczyn niezależnych od fundatorów narodziny Fundacji trwały dość długo. Ostatecznie nowopowstała fundacja otrzymała Canada Letters Patent w dniu 22 czerwca 1988 roku, a wśród jej członków założycieli znaleźli się: Nelli Turzańska, ks. prałat Franciszek Pluta, Henryk Słaby, Tadeusz J. Masłowski, Maria Jabłońska i Edward Zyman. Niestety, nie doczekał tego pomysłodawca i główny fundator Fundacji, kpt. Władysław Grzymała-Turzański (1905-1986). Ideę jego życia zrealizowała z oddaniem i niezwykłą kompetencją pani Nelli. W międzyczasie zmarł ks. prałat Pluta, z Zarządu odeszli Tadeusz J. Masłowski, Maria Jabłońska i – utrzymując z nią przez wiele późniejszych lat ścisły kontakt jako ekspert finansowy – Henryk Słaby. Przez kilka lat funkcję dyrektorów pełnili Maria Wojtczak i dr Edward Sołtys. W okresie ostatnich lat obok członków założycieli Nelli Turzańskiej-Szymborskiej i Edwarda Zymana, w skład Zarządu

Fundacji wchodzili: Zbigniew Szymborski (wiceprezes), Henryk Wójcik, Marek Kusiba, Grażyna Kopeć i dr Tamara Trojanowska oraz, po złożeniu swej funkcji, w związku z pogarszającym się stanem zdrowia, przez Nelli Turzańską-Szymborską, Ewa Szozda.



1992 r. Janusz Krasiński (pierwszy od lewej) w gościnnym mieszkaniu Grażyny Kopeć. Obok laureta: p. Nelli Turzańska-Szymborska, Zbigniew Szymborski, Irena Harasimowicz-Zarzecka, Krzysztof Zarzecki, Henryk Wójcik, Grażyna Kopeć i Edward Zyman.

W ciągu dwudziestu siedmiu lat swego istnienia (1988-2015) Fundacja wyróżniła osiemdziesięciu przedstawicieli polskiej literatury, muzyki, teatru, nauki i sztuki. Są wśród nich twórcy

zamieszkujący stale w Polsce i poza jej granicami: w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Anglii i na terenie dawnych Kresów Rzeczypospolitej. Na liście jej laureatów znajdujemy nazwiska Stanisława Barańczaka, Włodzimierza Boleckiego, Kazimierza Brauna, Tomasza Burka, Andrzeja Buszy, Marka Chodakiewicza, Romana Chojnackiego, Adama Czerniawskiego, Bogdana Czaykowskiego, Normana Daviesa, Beaty Dorosz, Anny Frajlich, Józefa Garlińskiego, Michała Głowińskiego, Ireny Harasimowicz, Julii Hartwig, Wacława Iwaniuka, Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej, Ryszarda Kapuścińskiego, Tymoteusza Karpowicza, Mariana Kisiela, Janusza Krasińskiego, Janusza Kryszaka, Mirosława Kułakowskiego, Wojciecha Ligeży, Ewy Lipskiej, Artura Daniela Liskowackiego, Adama Lizakowskiego, Jacka Łukasiewicza, Henryka Mażula, Romualda Mieczkowskiego, Michała Mikosia, Sławomira Mrożka, Włodzimierza Odojewskiego, Arkadiusza Pacholskiego, Mariana Pankowskiego, Magdalena Rabizo-Birek, Ada van Rijsewijk, Tadeusza Różewicza, Aleksandra Rybczyńskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, Marka Skwarnickiego, Ewy Stachniak, Władysława J. Stankiewicza, Janusza Szubera, Floriana Śmieji, Jerzego Święcha, Beaty Tarnowskiej, Tymona Terleckiego, Ewy Thompson, Ireny Tomaszewskiej, Adama Tomaszewskiego, Jana Twardowskiego, Aliny Witkowskiej, Adama Zagajewskiego, Grażyny Zambrzyckiej, Krzysztofa Zarzeckiego, Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm.

Wymieniliśmy dotychczas nazwiska pisarzy, tłumaczy i naukowców, ale wśród jej laureatów spotykamy także przedstawicieli wielu innych dziedzin kultury. Sztukę reprezentują Andrzej Dudziński, Kazimierz Głaz, Tamara Jaworska, Bronka Michałowska, Jerzy Kołacz i Andrzej Pityński, teatr – Maja Komorowska-Tyszkiewicz, Maria Nowotarska i Jerzy Kopczewski-Bułeczka, muzykę – Janina Fijałkowska, Maciej Jaśkiewicz, Adam Makowicz i Michael Newnham, dokument – Roman Aftanazy, Stanisław Kopf, Krzysztof Kunert, Jacek Sawicki i Irena Tomaszewska, fotografię artystyczną – Andrzej Stawicki, dziennikarstwo – Julita Karkowska.

Nagradzając twórców mających trwałe miejsce w kulturze narodowej, Fundacja Turzańskich nie zapominała o młodych, wyłuskując spośród wstępujących pokoleń ich najzdolniejszych przedstawicieli. Od 1994 roku wraz z głównymi nagrodami przyznawane były wyróżnienia dla młodych talentów. Otrzymali je Piotr Bołdys, Joanna Chiro, Maciej Dorna, Kamila i Zofia Drotlef, Jan Miłosz, Adam Osiński, Natalia Paruzel, Krzysztof Sułowski, Alicja Wysocka i Berenika Zakrzewska.



2004 r. Prof. Marek Chodakiewicz wśród członków i przyjaciół Fundacji. Stoją od lewej: Grażyna Kopeć, Marek Kusiba, p. Nelli Turzańska-Szyborska, Zbigniew Szyborski, Laureat, Edward Zyman, Tamara Trojanowska i żona Marka Kusiby - Barbara.



2001 r. Od lewej: Marek Kusiba, Edward Zyman, Tymoteusz Karpowicz (laureat), Grażyna Kopeć, Irena Harasimowicz-Zarzecka, Henryk Wójcik, Aleksander Rybczyński.

Na szczególne podkreślenie zasługuje pomoc Fundacji udzielona zasłużonym dla kultury polskiej instytucjom m.in.: Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu, Katedrze Historii Polski na Uniwersytecie Torontońskim, Towarzystwu Miłośników Języka Polskiego, wydawcy ukazującego się w Krakowie czasopisma „Język Polski”, Polskiemu Instytutowi Naukowemu i Bibliotece Polskiej im. Wandy Stachiewiczowej w Montrealu, Uniwersytetowi Polskiemu i Fundacji im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego w Wilnie, Kanadyjsko-Polskiemu Instytutowi Badawczemu w Toronto, „Archiwum Emigracji” w Toruniu, Ośrodkowi „Karta”, redakcjom czasopism „Akcent”, „Dialog” [Berlin], „Fraza”, „Kresy”, „Rocznik Lwowski” i „Pielgrzym”.

Celem głównym Fundacji była promocja kultury polskiej, a jej instrumentem podstawowym – nagrody i dotacje. Swą obecność w środowisku zaznaczała jednak także poprzez inne formy działania. Przez wiele lat w ramach Klubu Przyjaciół Fundacji urządzała cieszące się dużym powodzeniem wieczory dyskusyjno-literackie, z okazji uroczystego wręczania dorocznych nagród organizowała szereg spotkań z laureatami w torontońskim środowisku szkolnym, pod jej patronatem odbył się spektakl poetycko-muzyczny miejscowego Salonu Muzyki i Poezji „Nie bój się kochać”, oparty na poezji jednego z laureatów – ks. Jana Twardowskiego, wspólnie z Polskim Funduszem Wydawniczym w Kanadzie była organizatorem Tygodnia Polskiej Literatury w Toronto, w którym uczestniczyli m.in. pisarze i naukowcy zaproszeni z kraju: profesorowie Jacek Łukasiewicz, Jerzy Święch, Janusz Kryszak oraz Sergiusz Sterna-Wachowiak, Włodzimierz Odojewski i Krzysztof Czyżewski.

Działająca w oparciu o prywatny zapis testamentowy, Fundacja nie byłaby w stanie podołać swym ambitnym zadaniom, gdyby nie życzliwa pomoc środowiska. Przekazanie przez nią ponad 200 tys. dolarów na promocję kultury polskiej stało się możliwe nie tylko dzięki bezinteresowności założycieli Fundacji, ale także dzięki wsparciu rozumiejących sens jej historycznej misji sponsorów. W tym sensie niewątpliwymi współautorami sukcesów Fundacji były instytucje: Stowarzyszenie Wspólnota Polska, Konsulat Generalny RP w Toronto, Polskie Linie Lotnicze

LOT, Pekao Trading Company (Canada) Ltd., Credit Union św. Stanisława i św. Kazimierza, Fundacja Mickiewicza, Kongres Polonii Kanadyjskiej, Ogniwo 11 Federacji Polek, Związek Nauczycielstwa Polskiego oraz osoby prywatne: Teresa Budziło, Marek Bulicki, Barbara Choromańska, Radosław Chrabąłowski, Agnieszka, Kasia i Maciej Czaplińscy, Joanna i Jarosław Dąbrowscy, Irena i Florian East, Anna i Bogdan Ejbich, Bernadette Flaisch, Jesse Flis, Elżbieta i Jarosław Gajewscy, Aniela Gańczak, dr Andrzej Garlicki, Barbara Głogowska, Jerzy Guzewicz, Irena Habrowska-Jellaczyc, Elżbieta i Bartłomiej Habrowscy, Lech Hałko, Wacław Iwaniuk, Renata i Jerzy Jatczak, Dorota i Aleksander Jamroz, mec. Bogdan A. Kamiński, Tadeusz Kay, Julia Kicińska, Elzmira Kieraszewicz, dr Jerzy i Samanta Korab-Kucharscy, Adam Kreutzer, Chris Korwin-Kuczyński, Wiktoria i Zbigniew Kwadrans, Ania i Janis Lindenberg, Bogdan Łabędzki, Hanna Łempicka, Anna Lubicz-Łuba Bartholomew, Anna Łapińska, Jerzy Maksimowski, mec. Marek Malicki, Małgorzata Maye, Peter Mielżyński, Małgorzata i Wojciech Mikołajczak, Stanisław Mocarski, Lech Mokrzycki, Andrzej Mrożewski, Violet Oleszko, Cezary Olszewski, Anna Paudyn, Eleonora Pidperyhora, Mary i Jacek Przygodzcy, mec. Janusz Puźniak, Elżbieta i Ryszard Rogaccy, mec. Ryszard Rusek, Stan Russocki, dr Ryszarda Russ, Bolesław Rybka, Henryk Słaby, Danuta i Zbigniew Słomiany, Małgorzata i Konrad Stanisławscy, Wanda Stojanowska, dr Joanna Stuchly, Maria i Andrzej Sułowscy, Jadwiga Sztrumf, Jadwiga i Krzysztof Szydłowski,

Maria i Szymon Świętorzeccy, W. S. Tylkowsy, Stanisław Wcisło, Urszula Wydymus, Czesław Zacharski, Teresa i Mariusz Zimny, dr Jan Zuchelkowski, Zygmunt Zychła, Anna Żurakowska.



Laureaci Fundacji: Magdalena Rabizo-Birek (2004) i Bogdan Czaykowski (1991) w bibliotece swego imienia mieszczącej się w domu Anny Lubicz-Łuby w Lions Bay.

We wstępie do broszury wydanej z okazji dziesięciolecia Fundacji pisała Nelli Turzańska-Szymborska:

Wchodzimy w kolejne dziesięciolecie z nadzieją, że wypracujemy jako polska diaspora nowe, skuteczniejsze niż

dotąd, odpowiadające naszym potrzebom, ambicjom i możliwościom instrumenty promocji polskiej kultury. Że wykorzystamy historyczną szansę polegającą na tym, że żyjemy w czasach naturalnego, nie skrepowanego niczym obiegu wartości między Krajem i Emigracją. W czasach wreszcie intensywnych kontaktów z najwybitniejszymi przejawami polskiej kultury i jej czołowymi przedstawicielami, co dla pokoleń wcześniejszych było najskrytszym pragnieniem i marzeniem[1].

Myślę, że dziś, po zakończeniu działalności Fundacji, jej współzałożycielka miałaby prawo stwierdzić bez fałszywej skromności, że w ramach tak nakreślonego programu, z gronem swych przyjaciół i współpracowników, uczyniła bardzo wiele, lub trafniej byłoby stwierdzić: wszystko, co w dysponujących przez Fundację warunkach było możliwe.

Najtrafniej ujął to w 2003 roku laureat Fundacji, wybitny angielski historyk i przyjaciel Polski, Norman Davies, który w jednym z wywiadów stwierdził:

Jest to dla mnie bardzo ważne wyróżnienie. Bardzo szanuję tę Fundację. Zanim poznałem panią Nellę osobiście, przeczytałem jej życiorys, który zresztą umieściłem w swojej książce o Powstaniu [Warszawskim]. Uważam, że pani

Turzańska-Szymborska jest nadzwyczajnym człowiekiem. Osoba, która miała tak trudne doświadczenia, która tyle przeżyła i która teraz, będąc w starszym wieku, nie tylko wypoczywa, ale stara się coś dobrego zrobić dla społeczeństwa, dla kultury, wzbudza szacunek. Jest to szczyt życia wartościowego. Myślę, że Polonia kanadyjska winna się czuć szczęśliwa, że ma taką osobę i taką Fundację. Nieczęsto i nie wszędzie się to zdarza[2].

Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich była instytucją prywatną. Wymaga to kilku słów wyjaśnienia. Była to bowiem prywatność szczególna. Znaczyła tylko (i aż) tyle, że dwoje ludzi przeznaczyło swój życiowy kapitał w sposób bezinteresowny sprawie publicznej. Owa prywatność miała więc charakter ze wszech miar społeczny. Życzyć by należało polskiej kulturze, by Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich znalazła swe następczynię, by podobnych jej prywatnych fundacji pojawiło się w Kanadzie – w ogóle na obczyźnie – jak najwięcej.

Po raz ostatni Fundacja przyznała nagrody w dniu 11 grudnia 2015 roku. Kierująca wówczas jej działalnością Ewa Szozda, przekazując do publicznej wiadomości komunikat o przyznanych wyróżnieniach, pisała:

Rada Dyrektorów pragnie z przykrością poinformować, że z

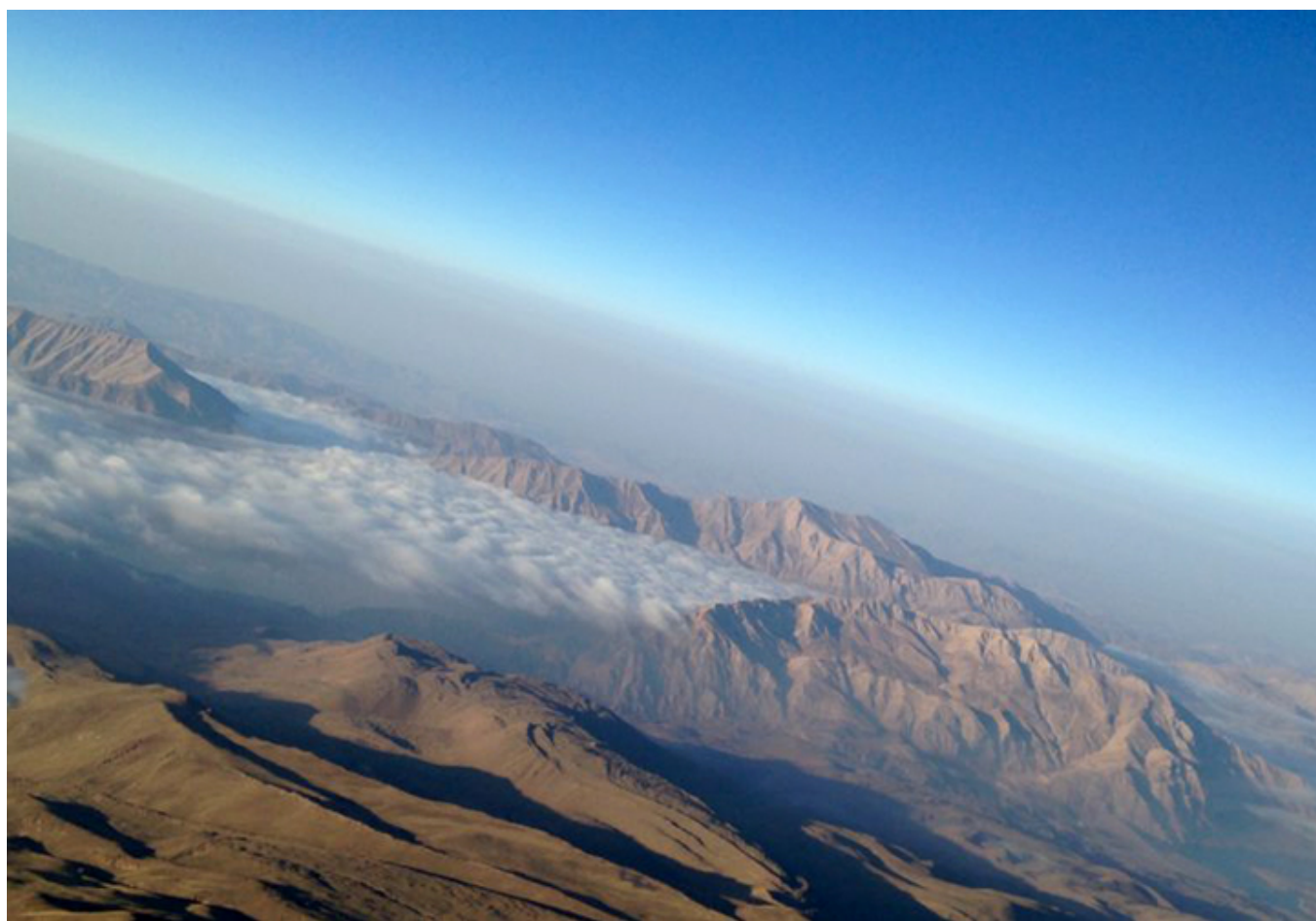
dnem jego ogłoszenia zamyka swą dwudziestosiedmioletnią działalność w służbie kultury polskiej. Bogaty dorobek Fundacji wiąże się nieodłącznie z jej twórczynią, Nelli Turzańską-Szyborską i jej dobrym, inspirującym duchem. Jest w ogromnej mierze zasługą Jej i grona jej bliskich współpracowników, którym tą drogą przekazuję najserdeczniejsze podziękowania za ich wieloletnią, bezinteresowną współpracę. Jednocześnie serdeczne słowa podziękowań kieruję do kanadyjskiej Polonii, bez której życzliwości i wsparcia nasze działania byłyby niemożliwe. Niech przyjmą te podziękowania wszyscy nasi darczyńcy, ludzie wielkiego serca i dobrej woli, redaktorzy miejscowej prasy, zamieszczający nasze komunikaty i informujący swych czytelników o podejmowanych przez nas przedsięwzięciach. Wiele serdeczności kieruję także do redakcji nowojorskiego „Przeglądu Polskiego” i krajowych kwartalników literackich, przede wszystkim rzeszowskiej „Frazy” i lubelskiego „Akcentu”, pism, które od początku wykazywały życzliwe zainteresowanie pracami Fundacji. Zamykając swą działalność Fundacja, zgodnie z wcześniej wyrażoną wolą jej założycielki, przekazała swoje zasoby na utworzenie funduszu stypendialnego dla doktorantów polonistyki na Uniwersytecie Torontońskim. Fundusz ten powstał jako “Wladyslaw and Nelli Turzanski Foundation Scholarship in Polish Studies at the University of Toronto”. Tym samym dzieło Nelli Turzańskiej-Szyborskiej, której celem było

wspieranie i promowanie polskiej kultury na obczyźnie, choć w innej postaci, będzie kontynuowane.

[1] „Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich 1988-1998”, Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, Toronto 1998, s.7.

[2] Anna Lubicz-Łuba, Edward Zyman: *Historyk jest kustoszem pamięci. Rozmowa z Normanem Daviesem*, „Dziennik” [Toronto] z 7-9 listopada 2003.

Niecodziennik podróżniczy



Góry Alborz/Elburs w promieniach wschodzącego słońca, fot. zewpodrozy.pl

Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)

Iran, Azerbejdżan, Mongolia, Rosja, Wyspy Zielonego Przylądka, Norwegia, Spitsbergen... wielka rozbieżność kierunków, które łączy osoba jednego podróżnika. Pochodzący z Łańcuta Michał Lars Bardian, który w tym roku obronił licencjat z filologii norweskiej, odpowiada stale na „zew podróży”, wzywający go do odbywania coraz to nowych wypraw, które relacjonuje na swojej stronie internetowej i na profilach społecznościowych.

Już samo wejście na stronę internetową Michała ma posmak

przygody. Autor ostrzega gości, że przy czytaniu niektórych sprawozdań mogą zarazić się bakterią o nazwie „Szwędacz-Bacillus”. Sam złapał ją już w dzieciństwie od swojego ojca, który do dziś jest aktywny turystycznie. Cała rodzina spędzała prawie każdy weekend w górach, a na wakacjach wyjeżdżała do krajów europejskich, czy Azji Mniejszej. Podróżowali samochodem, nocowali pod namiotem, bez zbędnych wygód, za to aktywnie i w bliskim kontakcie z naturą. Czasami przyrządzali posiłek z tego, co zebrali w lesie, lub złowili.

Na niektóre wyjazdy zabieraliśmy wędki i łowiliśmy ryby, które spożywaliśmy na kolację, albo na obiad – opowiada Michał – W Norwegii są na przykład bardzo dobre łowiska. Zdarzały się przy tym zabawne sytuacje. Raz holowaliśmy jedną ogromną rybę przez całą noc, aż w końcu urwała się z haczyka. Udało nam się zobaczyć jej kontury, jak zbliżała się do powierzchni wody, przypominała kształtem halibuta.



Arktyka, fot. zewpodrozy.pl

Fascynacja Północą

Michał jest zakochany w Norwegii od czasu, kiedy z rodzicami odwiedził ten kraj po raz pierwszy. Trzy lata później zaczął samodzielnie uczyć się języka norweskiego, a kończąc liceum zdecydował się na studia filologiczne. Tak wspomina swój pierwszy, samodzielny wyjazd do Norwegii, dokąd udał się po maturze, w towarzystwie znajomych:

Pojechaliśmy do jednej z miejscowości na zachodzie, do Odda. Chodziliśmy tam wprawdzie normalnymi szlakami turystycznymi, ale spaliśmy oczywiście w namiotach, bądź w hamakach. Był to dość wymagający pobyt, bo przypadł w

wyjątkowo deszczowym maju. A według statystyk zachodnia Norwegia najbardziej zadeszczone miejsce w Europie. Używaliśmy folii malarskiej do ochrony, ale mimo to wilgoć nam mocno doskwierała. Największy problem był z suszeniem ubrań, ponieważ padało non stop. Suszyliśmy je na dworcach autobusowych.

Michałowi prawie zawsze towarzyszy w podróżach ktoś z przyjaciół. W 2016 roku wybrał się na Svalbard wraz z muzykiem-saksofonistą Kamilem Malinowskim. Relacja z ich wyprawy została zamieszczona na portalu „Moja Norwegia”. Svalbard to królestwo białych niedźwiedzi i dziewiczej, arktycznej przyrody. Polscy podróżnicy odkryli przy tej okazji miejscowy zwyczaj:

Zajrzeliśmy do tamtejszego kościoła, w którym znajdowały się półeczki i pojemniki na składowanie broni, którą nosi się na wszelki wypadek, gdyby zaszła konieczność obrony przed niedźwiedziem. Takie same półeczki są w lokalnym markecie. Składowanie się tam broni po to, żeby nie wchodzić z nią do pomieszczenia, gdzie inni ludzie mogliby poczuć się niekomfortowo w obecności osoby uzbrojonej.



Główna droga do Ulan Bator, fot. zewpodrozy.pl

Śladami Czyngis-Chana

Równie ciekawe są opisy przeżyć Michała w krajach dalekowschodnich, gdzie panują odmienne warunki pogodowe.

Klimat kontynentalny jest surowy. Lata są gorące, zimy bardzo mroźne, ale za to przez większą część roku świeci słońce. A jeśli świeci w zimie, to ludzie mają lepszy nastrój – zapewnia podróżnik.

Podczas pobytu w Mongolii, Michał obserwował życie codzienne mieszkańców, był nawet świadkiem odprawiania rytuałów szamańskich. Doświadczył gościnności ludzi Wschodu, którzy zapraszali go na posiłek, lub podwozili do określonego miejsca, choć uważa, że nie tylko w tej części świata można spotkać się z ciepłym przyjęciem.

Ludzi gościnnych i dobrych można spotkać wszędzie. Na przykład w Norwegii nie korzystaliśmy ze „stopa”, ale jak raz szliśmy wzdłuż drogi, zatrzymała się para jadąca samochodem i zaproponowała nam podwiezienie. Doświadczyliśmy więc życzliwości także na Zachodzie.

Michał rozpoczął też studia azjatyckie ze specjalnością język chiński i właśnie ma okazję posługiwać się tym językiem na co dzień.

Zacząłem uczyć pięcio- i sześciolatek języka angielskiego w prywatnej szkole w Urumczy, w prowincji Sinciang. Nie znałem wcześniej tej części Chin. Ta prowincja ma bardzo ciekawe położenie geograficzne, mieszkam u samego podnóża gór Tien-Szan. Postaram się w wolnym czasie zwiedzać ten region, nagrywać vlogi na moim kanale Youtube, publikować sprawozdania na Facebooku i na mojej

stronie internetowej: www.zewpodrozy.pl

Meandry języka



Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Było to chyba jeszcze w 1935 roku, kiedy wychowawca tłumaczył

nam zmiany w nowej ortografii, która miała obowiązywać od 1936 roku i dotyczyć wielu imion, a nawet nazwisk. Podpisywałem się wtedy Florjan Śmieja. W mig na kartce papieru złożyłem zmieniony, moim zdaniem, według nowych przepisów podpis i byłem rozczarowany, kiedy nauczyciel zgodził się na krótkie **i** w imieniu, ale kazał w nazwisku przywrócić **j**. Może od tego momentu zacząłem dbać o pisownię mojego nazwiska. Kiedy więc kujony i puryści trzymając się ściśle przepisów nowej ortografii pisali w dopełniaczu "Śmiei", protestowałem najpierw nieśmiało, a potem mocniej. Odtąd mam problemy i mają je inni, którzy skłonni mi iść na rękę.

Tymczasem zacząłem krytyczniej patrzeć na odmianę rzeczownika kończącego się na **-ja**. Nie będąc fanatykiem gramatyki przecież zauważyłem, że nazwiska z końcówką **-ja**, Zieja, w odmianie zmieniają temat przed dodaniem końcówki przypadku. Tematem nazwiska Zieja jest Ziej, a nie Zie, także Śmiej, a nie Śmie. Dlaczego więc "Śmiei" ma być poprawne?

Przeszedłszy w Kanadzie w 1991 roku na emeryturę zacząłem latać do Polski, aby uczyć hiszpańskiej literatury. Dotąd wypraw tych było szesnaście. Pierwsze czteromiesięczne staże były we Wrocławiu. Na uniwersytecie poznałem znakomitego językoznawcę profesora Jana Miodka. Okazało się, że skończył to samo gimnazjum, co ja, w Tarnowskich Górach, a być może uczył mnie jeszcze jego ojciec w tzw. Ćwiczeniówce. Zaprosił mnie do

programu "Ojczyzna-Polszczyzna". Zwierzyłem mu się z nękających mnie wątpliwości, co do słuszności niektórych reguł ortografii. Kazał uzbroić się w cierpliwość i zapowiedział zajęcie się tą sprawą rzeczoznawców. Jest więc nadzieja.

Na razie zadowolić się muszę sporą notą pod hasłem "Śmieja" w "Słowniku Ojczyzny Polszczyzny" Jana Miodka.

Jestem dumny z polszczyzny moich dzieci urodzonych w Anglii. Wracając nocą któregoś lata z wakacji na Opolszczyźnie do Zabrza, zauważyłem na szosie w świetle reflektorów jeża.

Zatrzymałem samochód i iglastą kulkę, w którą się sympatyczny zwierzak zwinął, wtoczyłem nogą do pudła. Następnie spytałem najstarszą córkę Anię, jak go nazwiemy. Bez zastanowienia się powiedziała: "Jeżyk Śmieja".

Leszek Szymanski: Wspomnienia bez mundurka .

Anna Habryn (*Perth, Australia*)

W zalewającej rynek powodzi literatury „wspomnieniowej” książka Leszka Szymańskiego „Wspomnienia bez mundurka (zaraz po wojnie)” nie utonie niezauważona. Po pierwsze z powodu osoby autora, a po drugie z powodu tematu.



Autor sam o sobie pisze tak:

„Kariere” literacką zaczynałem chyba mając 12/14 lat humoreskami w „Świecie Młodych”, płacono mi honoraria a nawet miałem autentyczną legitymację prasową, z czego byłem bardzo dumny. Następne [drukowałem] humoreski w „Musze” i „Szpilkach” gdzie wrócono mi karierę, ale spoważniałem, zwłaszcza, gdy założyłem grupę literacką

„współczesność” i Pismo tej nazwy; jedyne niezależne i prywatne Pismo, w całej Europie Wschodniej, dzięki wrzeniu rewolucyjnemu PAŹDZIERNIKA 1956! „Przełom”, a raczej wyrwa w Literaturze SOC-REALIZMU.

Ciekawostką jest, że widoczne w powyższym cytacie nieposzanowanie dla zasad ortografii i interpunkcji stało się wizytówką owej „współczesności” – i do dzisiaj Szymański upiera się przy zachowaniu tej interpunkcyjnej anarchii w swoich „Wspomnieniach”, co – nawiasem mówiąc – nie ułatwia czytania tej powieści.

Szymański (który obchodzi w tym roku 86 urodziny) jest postacią legendarną, gdyż najpierw zapisał się w historii polskiej literatury jako założyciel i redaktor „Współczesności”, a potem zniknął z polskiego horyzontu kulturalnego na długie lata, zakazany przez polską cenzurę, chociaż jego opowiadanie o Mickiewiczu „Rogowy Guzik”, nagrodzone na konkursie Związku Literatów Polskich, przez lata utrzymywało się w wypisach szkolnych.

Nie wiem, czy „Wspomnienia bez mundurka” wejdą do kanonu lektur szkolnych, jak Szymańskiemu życzliwie życzą recenzenci jego książki, ale na pewno nie pozostaną niezauważone. Coraz nowe recenzje z książki ukazują się w pismach polonijnych w

Ameryce, Europie i Australii. Bo Szymański jest znany na trzech kontynentach. Na emigracji został pisarzem „polonijnym”, choć pisze w dwóch językach.

W „Wiadomościach Polskich” w Sydney drukowano w odcinkach jego powieść „Żywot codzienny państwa Wiśniewskich”, jego druga powieść australijska „Narzeczone” była drukowana w londyńskiej „Kronice”, a także w „Gwieździe Polarnej” w USA. Napisana po angielsku „Escape to the Tropics” była „książką tygodnia” gazety „Daily Telegraph”.

Cambridge Companion to Australian Literature odnotowuje go jako pisarza australijskiego, ale jego nazwisko można spotkać także w źródłowych publikacjach amerykańskich. Pasją Szymańskiego jest historia – i dociekanie prawdy historycznej.

W USA wyszła drukiem jego książka „Warsaw Aflame” uczciwe przedstawienie okupacji i stosunków polsko-żydowskich. Jego przełomowa praca „Kazimierz Pulaski in America”, oparta na dokumentach, rozeszła się w pięciu tysiącach egzemplarzy i nawet przyniosła autorowi skromne honorarium! Jest też autorem opracowania z zakresu politologii: „Days of Solidarity”.

Co do tematu wspomnień bez mundurka...

Autor wyznaje:

„Mundurka” bym nie napisał, gdyby nie wystawa graficzna „Tajnych gier politycznych w gimnazjum Batorego”, urządzona przez syna Bohdana Slezkina, Michała. Michał zamówił u mnie artykuł o naszych „nielegalnych” zabawach politycznych w latach powojennych. Po przeczytaniu tego Regina Gorzkowska, znana dziennikarka polonijna z Filadelfii, zasugerowała mi napisanie wspomnień sztubackich i tak powstała powieść „Wspomnienia bez mundurka (zaraz po wojnie)”.

O tych „grach politycznych” w książce jest kilka wzmianek, ale tylko wzmianek. Wiemy, że trójka kolegów rządziła wtedy trzema stworzonymi przez siebie „państwami”, które miały własne armie, mundury, flagi i – zdaje się – systemy społeczne i wielka szkoda, że autor nie opisał tych „państw” dokładniej. Powiedziałyby nam to więcej o bohaterach tych wspomnień.

Sam autor widzi „Wspomnienia bez mundurka” jako paralelę do klasycznego dzieła tego gatunku, „Wspomnień niebieskiego mundurka” Gomulickiego.

Szymański mówił w którymś wywiadzie:

Różnica jest paradoksalnie podobieństwem. Gomulicki

pokazuje ostatnie lata polskiej szkoły, przed bezwzględną rusyfikacją jaka nastąpiła po upadku Powstania Styczniowego. Jest to więc koniec ery w historii Polski, gdy wraz z resztkami swobód Królestwa Kongresowego zniknęła nawet nasza nazwa i Polska stała się Priwislianskim Krajem.

Akcja „bez mundurka” toczy się w pierwszych latach Polski powojennej pod sowieckim zaborem. Jest to nowy okres naszych dziejów (...), ale to więcej niż koniec etapu naszej historii; bo finał całej epoki światowej historii.

Są to pierwsze miesiące po wojnie.

Jest we „Wspomnieniach bez mundurka” obraz Warszawy dźwigającej się z ruin, obraz odradzającego się życia. Bodaj najciekawsze fragmenty książki dotyczą właśnie życia bynajmniej nie tych młodych ludzi, z których wyrosła dziesięć lat później polska literacka „Współczesność”, ale tych wiechowskich charakterów z ulicy. W epizodach z codziennego życia ujawnia się pisarski pazur Szymańskiego i jego poczucie humoru.

Własna biografia, dzieciństwo i młodość, oglądane z perspektywy 70 lat, przypominają stare zdjęcia: nieco wyblakłe, budzą niedosyt i pytania o to, co zostało poza kadrem i zamazało się w pamięci. Pewne epizody są wyraziste i barwne, inne wyraźnie

czerpane z opowiadań innych ludzi.

Tak właśnie, z epizodów, zbudowane są „Wspomnienia bez mundurka”, historia pierwszego powojennego rocznika uczniów słynnego warszawskiego Gimnazjum im. Stefana Batorego.

Budynek renomowanej przed wojną szkoły jest na wpół zburzony, ale napływają uczniowie i zaczyna się pierwszy po wojnie rok normalnej nauki.

Uczniowie są inni niż przed wojną: młodszy i starszy, ofiary okupacyjnych cierpień, jeden szedł z wojskiem aż z Syberii, inny przeżył obóz koncentracyjny, podrostki z partyzantki bawią się bronią pod ławką szkolną... Po traumatycznych przeżyciach noszą blizny, fizyczne i psychiczne. A razem z nimi uczą się normalne, błaznujące dzieciaki, w których psotach odbija się okrucieństwo świata dorosłych. Na przykład obraz Kulki siedzącego na minie w szkolnej piwnicy, czy scena uczniowskiego „sądu” nad tymże nieznośnym Kulką, może czytelnika przyprawić o dreszcz grozy, mimo że Szymański posługuje się humorystycznym stylem narracji żywo przypominającym dobrotliwe humoreski Kornela Makuszyńskiego, który był zresztą jego ulubioną lekturą w tamtych, sztubackich czasach.

Szymański porównując swoją książkę do Gomułckiego pisze:

Tamci chłopcy wydają się być w porównaniu z warszawską klasą 1945 pustogłowymi brzdącami z przedszkola. (...) Dzieciństwo tych Batoraków nie zniknęło, ale zmieniło ciężar gatunkowy.

Wspomnienia Szymańskiego trudno zaliczyć do jakiegokolwiek ustalonego gatunku literackiego. Bo nie jest to klasyczna literatura faktu. Powieść na motywach? Zbyt wierna historii. I jaka to powieść? Raczej nie klasycznie autobiograficzna. Ma luźną, epizodyczną konstrukcję i zdaje się nie trzymać ściśle chronologii wydarzeń, co zresztą zrozumiałe, po takim czasie! Sylwetki bohaterów rysowane są bardzo grubą kreską, właściwą karykaturze, bo są to właśnie „sylwetki”, a nie portrety – i dotyczy to też głównego bohatera, Felcia czyli Fonsia.

Owszem, ta książka to portret, ale ani szkoły, ani autoportret autora. To raczej przyczynek do portretu pewnego pokolenia, dorastającego w bardzo dziwnej historycznej sytuacji, między jedną „epoką” a drugą, między Polską sanacyjną a „Ludową”, w świecie po katastrofie, gdzie zasady społecznego życia jeszcze nie zostały na nowo ustalone i nikt do końca nie wie, jak będzie wyglądał ten nowy ustrój społeczny, w którym przyjdzie żyć.

I oto jest przyczyna, dla której ta książka jest ważna. Szymański opisuje wyrastanie pokolenia, które zbudowało Polskę Ludową,

ze wszystkimi jej dziwnościami, sprzecznościami i żarzącym się wiecznie konfliktem politycznym. Sam autor miał tę świadomość, skoro uznał za konieczne dodać książce Epilog, w którym szkicuje dalsze losy swoich kolegów ze szkoły i znajomych z podwórka, takich, którzy zrobili karierę mniejszą i większą, znaleźli swoje miejsce w PRL-u lub wyemigrowali. Ten Epilog, zawierający klucz do odszyfrowania autentycznych postaci i znanych nazwisk, jest tak smakowity, że chciałoby się go tu zacytować w całości, przytoczę więc przynajmniej kilka fragmentów:

Moniek gazeciarz ukończył jakieś zawodowe kursy na Uniwersytecie Wrocławskim, następnie pracował w RSW Prasa i ostatecznie wydawał rozmaite pisma. (...) Strzemiń skończył ze wspaniałym wynikiem kurs prokuratorski i został jednym z czołowych oskarżycieli w Polsce Ludowej (...) Kulka niespodziewanie znalazł się w cieniu Jerzego Makuszewskiego, który stał się znanym autorem antyrządowych piosenek satyrycznych (...) Kulka zachował dużo złośliwości, ale wyładowywał ją w utworach satyrycznych, które miały stały zbyt w rozmaitych teatrzykach (...) Sztrumpf został redaktorem codziennej gazety, a Krzysio Cieplic czołowym publicystą PRL-u, podczas gdy Andrzej Dobosz reprezentował opozycję. (...) Słonimski, klasowy „Słoń” nie zrobił kariery partyjnej, ale

został zawiadowcą na jednej z podmiejskich stacji. (...) Ryszard Rybacki, szermierz w palcicach nieźrównany, pracował w biurze szyfrów i doszedł do wysokiej rangi. Zdzisio Pietrzak został kierownikiem szkoły w Suwałkach. Orcio cudowne dziecko Rosłanowski zrobił karierę polityczną. (...) Roman Sliwonikowski zdobył laury poetyckie najwyższej rangi stając się jednym z czołowych polskich poetów. (...) Kwiryn został znanym autorem doskonałych i oryginalnych powieści kryminalnych. (...) Śledź mimo ogromnego talentu nie został przodującym karykaturzystą. Między innymi w karierze przeszkodził mu areszt i więzienie. Wraz z Ociepką, Rossmanem, Nowakowskim stworzył nielegalną organizację. Między rozmaitymi dowodami winy jak amerykańskie magazyny i komiksy i butelka po coca-coli, były przede wszystkim pisma z Odrobinii, Zjednoczonych Stanów Republikańskich i Niam-niamu. Słusznie Cieplic nakazywał je zniszczyć. Śledź wyszedł na wolność z amnestii ogłoszonej przed 1956, tak jak harcmistrz Wójcik. Otworzył własną firmę dekoracyjną. Specjalnością były (...) murale – gigantyczne malowidła ściennie. Interes szedł dość dobrze, ale mógłby lepiej, gdyż Śledź odmawiał wykonywania akcentów politycznych (...) Śledź także rysował i malował lilipucie postacie rozmaitych wojskowych w mundurach epoki (...) potrafił pogodzić przeciwności, choć nie polityczne, będąc twórcą miniatur i gigantycznych malowideł.

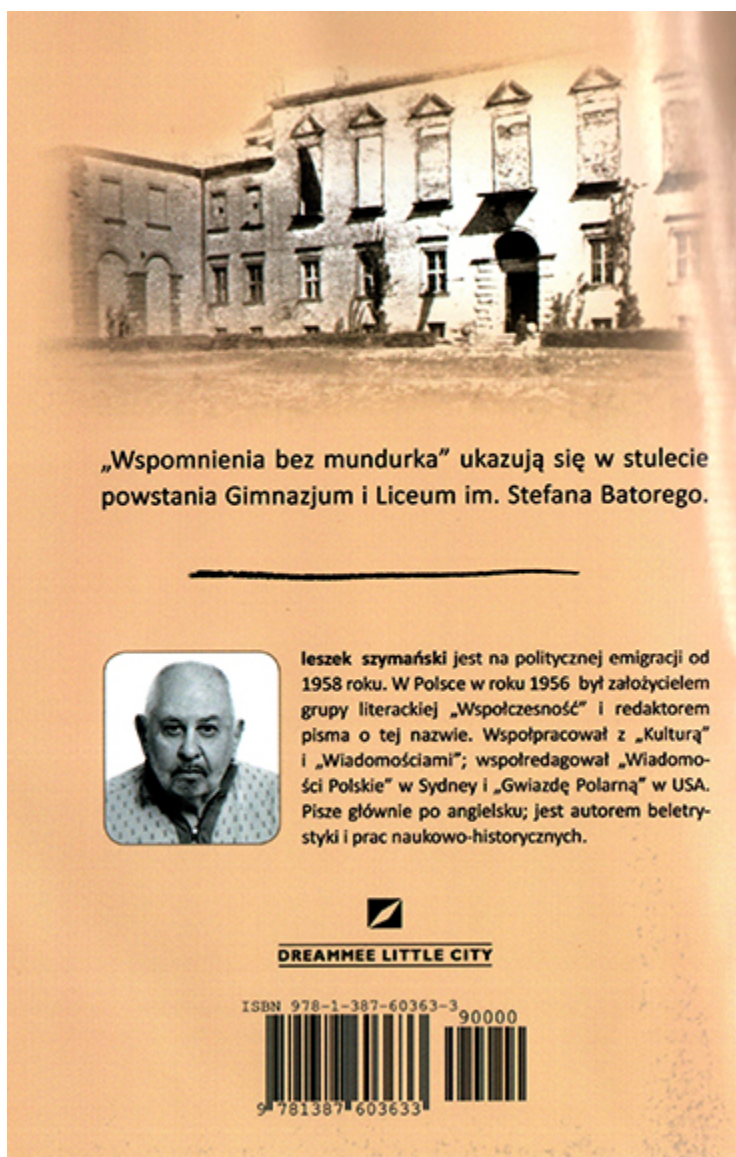
Felcio zostawił obiecującą karierę literacką w Polsce uzyskując azyl polityczny zagranicą, stał się anglojęzycznym pisarzem i historykiem. Cenionym, lecz nie finansowo.

Jeśli kiedyś dożyjemy czasów, kiedy historią przestanie się manipulować dla doraźnych celów politycznych, historyk z prawdziwego zdarzenia nie będzie mógł pominąć „Wspomnień bez mundurka” jako źródła wiedzy o trudnej młodości pokolenia „post-Kolumbów”. Jest to bardzo cenny przyczynek do portretu całej generacji polskiej inteligencji powojennej.

Zapytany o plany na przyszłość Leszek Szymański zapowiada książkę o Pawle E. Strzeleckim:

Pracuję ciągle nad Strzeleckim. I to jest po angielsku, dostosowane do odbioru przez anglosaskiego czytelnika. Tak, że moja dalsza pisanina będzie zależeć od tematyki i odbiorcy.

Biorąc pod uwagę bezkompromisowość Szymańskiego i jego odwagę sprzeciwiania się ustalonym mitom (widoczną też i w „Mundurku”), czekam na jego książkę o Strzeleckim z wielką ciekawością.



Populizm zabija wartości

Podczas tegorocznego Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni, Krzysztof Zanussi otrzymał Platynowe Lwy za całokształt twórczości. Reżyser powiedział, że nagroda ta ma dla niego smak słodko-gorzki. Słodki, gdyż miło jest być docenianym, a gorzki, gdyż tak nie cieszy wyróżnienie za wiek, jak za film. Reżyser powiedział też, że mimo wszystko dobrze być wiernym sobie, gdyż „populizm morduje wartości”.

Podczas Festiwalu w Gdyni można było się też spotkać z reżyserem i autorką książki „Życie rodzinne Zanussich”, Barbarą Gruszką-Zych.

Redakcja



Teatr Muzyczny. 44. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Gala zamknięcia. N. Krzysztof Zanussi z żoną Elżbietą Grocholską-Zanussi. 20.09.2019 fot. Mateusz Ochocki / KFP

Rozmowa Barbary Gruszki-Zych z Krzysztofem Zanussim i Elżbietą Grocholską-Zanussi (fragm. książki „Życie rodzinne Zanussich”).

B.G.-Z.: Powtarza Pan, że tutaj, na ziemi, nie powinno nam zależeć na szczęściu, a ludzie zwykle mówią, że chodzi im właśnie o to. Nawet moja ponad dziewięćdziesięcioletnia przyjaciółka Danusia życzy mi zwykle: „Basiu, bądź szczęśliwa”. I ja te życzenia przyjmuję z nadzieją, że tak się stanie.

K.Z.: Bo każdy po swojemu rozumie to słowo. Władysław Tatarkiewicz napisał książkę „O szczęściu”, żeby uświadomić, ile to pojęcie ma znaczeń. Dzisiaj, szczególnie w mediach, szczęście utożsamia się z błogostanem, czyli stanem, w którym jest mi dobrze. Otóż w życiu nie może być mi dobrze cały czas. Jak mogę powiedzieć, że jest mi dobrze, jeśli jestem na końcówce biegu na tysiąc metrów? Przecież czuję straszny ból i potworne zmęczenie, bo jeżeli dobrze biegnę, to cały się eksploatuję i cierpię jak potępieniec. I tak ma być! Jeśli tego nie ma, to nie ma prawdziwego życia, tylko ogłupiona, znieczulona egzystencja. Tu, na ziemi, nie musi nam być wyłącznie przyjemnie, ważne, żeby to, co nam się przytrafia, układało się w sens. Raz będzie lepiej, raz gorzej, czasem ciężiej, innym razem – lżej, ale wszystko powinno układać się w sens.

B.G.-Z.: Jakie momenty nadawały Pana życiu sens?

K.Z.: Na pewno mój związek z Elżbietą, chociaż zaczął się dość późno, zanim się do niego przekonałem. Bo bardzo długo byłem niepewny. Szkoda, żeśmy się za późno pobrali, że od razu nie miałem odwagi skoczyć w to uczucie. Jeśli chodzi o pracę zawodową, to mam pewne przesłanki, że kilka moich filmów komuś się przydało. Niedawno w Prawosławnej Akademii w Moskwie od batiuszki, nie bardzo znającego się na kinie, dowiedziałem się, jakie ma kryteria oceny sztuki. Powiedział, że kiedy obcuje z jakimś dziełem, a potem chce mu się modlić, to

znaczy, że ono było dobre. A jak mu się nie chce modlić, to nie było najlepsze.

B.G.-Z.: A po Pana filmach?

K.Z.: Modlił się.

B.G.-Z.: A Ty, Elżbieto, byłaś pewna, że Krzysztof to właśnie ten?

E.G.-Z.: W młodości spotkałam wielu mężczyzn, ale żadnego bym nie wybrała na całe życie, mimo, że to byli wspaniali ludzie. Miałam siedmiu braci i to oni bardzo wysoko ustawili poprzeczkę, jaki powinien być mężczyzna. Kiedy trafiłam wreszcie na upragniony cel, zobaczyłam w nim ideał na całe życie. Zanussi jest dla mnie takim ideałem.

K.Z.: Chyba zaraz się schowam pod stołem...

E.G.-Z.: On nie ma konkurencji i nic nie może nas rozdzielić.

B.G.-Z.: Własny mąż jako ideał na całe życie, to jest coś.

K.Z.: Ideał pełen niedostatku.

E.G.-Z.: Czytając panią profesor Annę Świderkową zdałam

sobie sprawę jak kosztowna, pełna cierpienia jest jedność małżeńska. Bardzo obrazowo przypomina, że małżonkowie dążą do pełni, do całkowitego złączenia dwóch natur mężczyzny i kobiety we wspólną naturę. Adam po hebrajsku to pełny człowiek. Kiedy Bóg wyjął mu żebro, by stworzyć z niego kobietę, zostawił w nim brak, niedopełnienie, kawałek pustego miejsca. To żebro wraca do niego w momencie, gdy łączy się z żoną i wtedy znów może stać się pełnym człowiekiem. Jednak trzeba mieć świadomość, że taki powrót żebra na właściwe miejsce jest straszliwym cierpieniem, ale należy je uznać za konieczne, bo jak bezboleśnie wpakować mu je z powrotem?

(...)

K.Z.: Nieraz zastanawiałem się nad odpowiedzią na pytanie o stosunek człowieka do własnego losu. Jaka jest granica, do której mamy obowiązek go zmieniać, a kiedy za cnotę można uznać fakt, że mu się poddajemy? Bo w pewnych sytuacjach rezygnacja staje się cnotą.

B.G.-Z.: Kiedy tak się dzieje?

K.Z.: Gdy walka staje się rzeczywiście beznadziejna. Czy pani wie, że osioł, jeśli mu się zwiąże tylne nogi, da się posadzić w motocyklowym koszu i przewieźć? Ludzie, którzy nie znali tej jego umiejętności twierdzili, że to niemożliwe. Przypuszczali, że

połamie sobie nogi. Żadnego źrebaka ani kuca nigdy nie dało się tak posadzić.

B.G.-Z.: Co ten osioł ma, że pozwala się tak spakować?

K.Z.: Ma tę mądrość...

B.G.-Z.: Ale to jest mądrość osła.

K.Z.: Niektórzy uważają, że to jest mądrość narodu wybranego. Jego zachowanie tylko potwierdza jaki ogrom mądrości niesie stara kultura, bo przecież osioł jest gatunkiem starszym od konia. Może dlatego rozumie, że jak nie ma co wierzgać, to lepiej tego nie robić, tracąc energię. I tym wygrywa.

B.G.-Z.: Osioł nie jest uznawany za najmądrzejsze zwierzę...

K.Z.: Też się czasem czuję osłem. Mam takie chwile kiedy mi się wydaje, że coś rozumiem, ale dużo częściej myślę sobie: „Co ja wiem na ten czy tamten temat?”

B.G.-Z.: Ale nie poddaje się Pan losowi i według niektórych – nie przestaje wierzgać. Mimo, że pewne środowiska wpisały Pana filmy i poglądy na jakąś czarną listę, robi Pan swoje. Bez odpoczynku podróżuje po kontynentach i do drugiego człowieka. A może to ucieczka przed konfrontacją ze smutkiem świata, w

którym ze swoimi przekonaniem znajduje się Pan daleko od centrum? Kiedy kilka dobrych lat temu prowadził Pan w Warszawie spotkanie promujące mój tomik „Muchy i ludzie” powiedział Pan: „Rozumiem panią dobrze, bo też jestem *outsiderem*”.

K.Z.: Oczywiście, że coś w tym jest. Od tego czasu sprawy posunęły się dalej – mój konflikt ze światem się pogłębił. Dawniej spotykałem się z dużo większą aprobatą dla moich przekonań, dzisiaj stały się jeszcze bardziej mniejszościowe i dlatego jest mi trudniej. W latach siedemdziesiątych miałem świadomość, że stoi za mną spora grupa inteligencji, która ceni podobne wartości i podobnie je manifestuje. Dzisiaj czuję się dinozaurem, człowiekiem marginesu, podejmującym wybory, których gromka większość nie podziela.

B.G.-Z.: A więc nie wystarczy zachowywać wierność temu co wybraliśmy?

K.Z.: Niestety, zdarza mi się wątpić w to, co wybrałem. Skoro tak ogromna większość sądzi inaczej, to pojawia się potrzeba, żeby sprawdzić, czy aby nie jestem w błędzie. Poza tym komfort maleje – zdecydowanie przyjemniej jest mieć poczucie, że ma się więcej współwyznawców.

B.G.-Z.: Bez tego wsparcia czuje się Pan słaby?

K.Z.: Moja słabość wynika z tego, że jest mi tak bardzo ciężko udźwignąć to, że się tak ze światem rozmijam. Chciałoby się, żeby wszyscy wokół wyznawali te same przekonania, wierzyli w te same ideały, to samo uważali za dobre. Wtedy człowiek ma poczucie komfortu. Z drugiej strony – tak żyją zakonnice, zakonnicy i, niestety, często z tej przyczyny popadają w jakąś oschłość.

B.G.-Z.: Na pewno nie dotyczy to mojej przyjaciółki siostry Dominiki Sokołowskiej, dominikanki klauzurowej, którą Pan poznał w Wilnie. Została mniszką rezygnując z pracy asystentki na wydziale fizyki. Ale niektórych, żyjących w klasztorach, pewnie dopada rutyna, a może i zgorzknienie.

K.Z.: A to bardzo niebezpieczne. Kiedy widzę to z tej strony, nabieram przekonania, że szarpanie się ze światem może być bardziej sensowne, niż kiszenie się we własnym sosie.

B.G.-Z.: Może z tego niepokoju rodzą się Pana filmy?

K.Z.: Nie wiem czy powstałyby w spokoju... (...)



Krzysztof Zanussi po uroczystości wręczenia statuetek, Teatr Muzyczny w Gdyni, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Barbara Gruszka-Zych: „Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” Czeladź. Wydawnictwo Działania Wizualne 2019.

Inny fragment książki:

<https://www.cultureave.com/zycie-rodzinne-zanussich-rozmowy-z-elzbieta-i-krzysztofem-barbary-gruszki-zych/>

Francja 1967-68, 1971-72, 1985 i 1993. Część I.



Le Mont-Saint-Michel (Wzgórze Św. Michała), Normandia

Zygmunt Wojski (Wrocław)

Pierwszy mój kontakt z **Francją** miał miejsce w końcu czerwca 1967 roku, kiedy w drodze do **Madrytu** zatrzymałem się na 10 dni w **Tulonie**, u znajomej Francuzki Jeannine, w oczekiwaniu na moją wizę hiszpańską. Poza spacerami po **Tulonie** i nad jego wspaniałą zatoką, odbyłem dwudniową wycieczkę do malowniczego przełomu rzeki **Verdon** i do miasta **Cannes**. W okresie Świąt Bożego Narodzenia pojechałem z Madrytu do **Paryża** i to było moje pierwsze zetknięcie się z tym wielkim, znacznie większym od Madrytu, miastem. Jako bardzo wówczas młody człowiek kręciłem się głównie po Montmartrze, u stóp którego mieszkałem na Rue Legendre, po Dzielnicy Łacińskiej i spędzałem czas w towarzystwie studentów z Ameryki Łacińskiej, między innymi w Klubie UNIFLAC (Uniwersyteckie Centrum Francusko-Latynoamerykańskie). Uroki tego miasta miałem odkryć dopiero później, podczas moich wiosenno-letnich pobytów.



Ulica Mouffetard w Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu

Drugi przyjazd do Paryża był związany ze stypendium badawczym przyznany mi, dzięki poparciu francuskiego hispanisty, prof. Bernarda Pottiera, przez francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Uczęszczałem wówczas na wykłady i seminaria prof. Pottiera, odbywające się głównie w Instytucie Studiów Hispanistycznych Sorbony, na ulicy Gay-Lussaca 31.



Instytut Studiów Hispanistycznych na Sorbonie. Ulica Gay-Lussac 31.

Jeździłem także na prowadzone w sposób atrakcyjny przez młodą Peruwiankę seminaria z leksykografii latynoamerykańskiej na Uniwersytecie w Vincennes. Ten pobyt trwał od końca listopada 1971 roku do połowy kwietnia 1972 roku, a więc prawie pięć miesięcy i był najdłuższym moim pobytem we Francji. Ministerstwo Spraw Zagranicznych urządziło swoim stypendystom piękną wycieczkę do Zamku Chambord, chyba największego i jednego z najbardziej znanych zamków renesansowych nad Loarą. Oprócz tego, CROUS, czyli Regionalny Ośrodek Uniwersytecki, organizował atrakcyjne i tanie wycieczki, a także kolacje dla cudzoziemców u rodzin francuskich. Tym sposobem pewna bardzo atrakcyjna Greczynka

z Salonik i ja byliśmy gośćmi jednej rodziny francuskiej.



Pałac Pod Mewą. Instytut Studiów Hispanistycznych na Sorbonie

Gdy chodzi o wycieczki organizowane przez CROUS, to najbardziej zapamiętałem wyjazd do stolicy Szampanii, miasta **Reims** i zwiedzanie cudownej gotyckiej katedry, w której koronowano królów Francji. Zafascynowała mnie także stolica Normandii, miasto **Rouen** z przepiękną gotycką katedrą i uroczym starym miastem o iście średniowiecznej atmosferze. Była także w programie katedra w **Chartres** i jej najpiękniejsze w całej Francji witraże. Pod względem towarzyskim najbardziej atrakcyjna była dwudniowa wycieczka do zamków nad Loarą. Zaprzyjaźniłem się z kilkoma osobami z Meksyku, Peru, Panamy, Ekwadoru, Chile, Urugwaju i podczas wycieczki tworzyliśmy

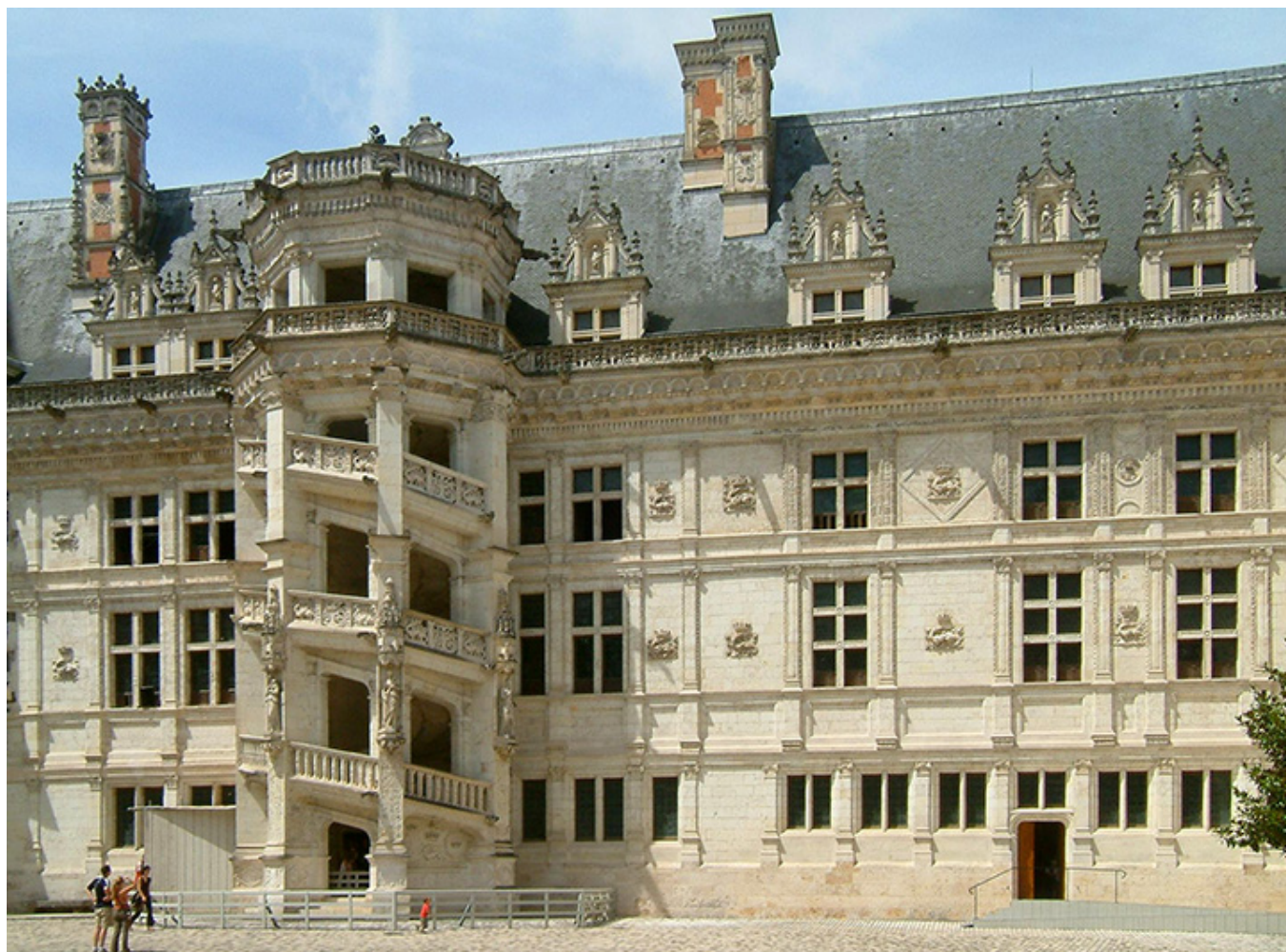
wesoły rozśpiewany zespół. NIKT nie chciał mi wierzyć, gdy mówiłem, że NIE jestem z Ameryki Łacińskiej (sic !).



Zamek Chenonceau

Spośród zamków najbardziej urzekł mnie zamek w Chenonceau, nad rzeką Cher, lewym dopływem Loary. Łuki będące dolną podstawą głównej części zamku stoją w wodzie tej rzeki, co nadaje całości swoistego czaru. Krótko mówiąc, cała niezwykle lekka budowla w stylu włoskiego renesansu, robi wrażenie pięknej koronkowej szkatułki odbijającej się w lustrze rzeki Cher.

Kolejnym zamkiem, który wydał mi się bardzo interesującym jest zamek w Blois i jego helikoidalne, spiralne schody wychodzące na wewnętrzny dziedziniec, zbudowane za czasów króla Franciszka I.



Zamek w Blois i jego monumentalne schody

Podczas prywatnych wyjazdów zwiedziłem **Awinion**, **Nîmes** i jego rzymskie zabytki, **Carcassonne**, **Wzgórze św. Michała** w Normandii i **Carnac** w Bretanii z długą aleją menhirów, dolmenów i kromlechów. W okolicy **Paryża** miałem okazję

obejrzeć Wersal z rozległym parkiem i przyznam, że ogrom zarówno pałacu, jak i parku przytłoczył mnie nieco. Za to pielgrzymka do pustego grobu Mickiewicza w miasteczku **Montmorency** była nie lada przeżyciem.



Grób Mickiewicza w Montmorency

W czerwcu 1985 poleciałem do **Paryża**, a stamtąd pociągiem TGV dotarłem do stolicy Burgundii, **Dijon**, gdzie miałem odbyć staż pedagogiczny. W **Dijon** najwspanialszym zabytkiem jest ogromny Pałac Księżąt Burgundzkich (*Palais des Ducs de Bourgogne*), XVIII, gdzie eleganckie nagrobki Filipa Dobrego, Jana Bez Trwogi, Filipa Śmiałego i Karola Odważnego. Z wysokiej wieży Filipa Dobrego obszerny widok na miasto, gdzie wyróżnia się gotycka katedra Świętego Benigna z XIV, patrona Burgundii. Krypta (VI wiek) była dolną częścią rotundy wchodzącej w skład opactwa. W starych pomieszczeniach dawnego opactwa Świętego Benigna, w tym w dawnej ogromnej sypialni mnichów z XIII w., znajduje się dzisiaj muzeum archeologiczne. Z pozostałych obiektów zabytkowych należy wymienić Hotel Vogüé z XVII i jego renesansowy portyk o trzech arkadach od strony dziedzińca oraz Bramę Wilhelma (*Porte Guillaume*), XVIII w., nazwaną tak na cześć Wilhelma de Volpiano, reformatora opactwa Świętego Benigna w XI wieku. Wchodziła ona niegdyś w skład murów obronnych.



Grobowiec Księcia Filipa Śmiałego w Pałacu Książąt Burgundii w Dijon



Wiele słyszałem o wspaniałej bazylice Świętej Magdaleny z początku XII w. w **Vézelay**, na północy Burgundii i właśnie tam najpierw się udałem. Miasteczko i bazylika leżą na wzgórzu. Bryła bazyliki podłużna, potężna, z licznymi przyporami. Nad wejściem wspaniały tympanon przedstawiający Sąd Ostateczny. Nawa jest wysoka, o smukłych kolumnach ozdobionych kapitelami. Także kolumny w łukach wzdłuż nawy mają bardzo ciekawe kapitele.



Bazylika św. Marii Magdaleny w Vézelay (Burgundia)



Bazylika św. Marii Magdaleny w Vézelay (Burgundia)

Kolejnym miejscem, które odwiedziłem, było **Autun** i katedra Świętego Łazarza o smukłej wieży, XII w. Tu także tympanon nad wejściem przedstawia Sąd Ostateczny i jest dziełem artysty o nazwisku Gislebert. W katedrze romańska płaskorzeźba wyobrażająca scenę z raju: Ewa zrywa jabłko, o obok kuszący ją wąż. Miasteczko otoczone jest murami. Zachowała się potężna Brama Św. Andrzeja z czasów rzymskich (I - III wiek), dwukondygnacyjna z czterema łukami.

Wreszcie Cluny, potężne niegdyś opactwo benedyktyńskie (X), ognisko reformacji reguły benedyktyńskiej, prężny ośrodek kultury średniowiecznej. To stąd ruszały pielgrzymki do grobu Świętego Jakuba w Santiago de Compostela. Do dziś zachowała

się ledwie dzwonnica o bardzo wysokim sklepieniu i smukłych romańskich kolumnach z kapitelami, a także wieże i mury obronne.

W 1993 miałem wykłady w niemieckim Saarbrücken, skąd blisko całkiem do Strasburga i Nancy. Najpierw pojechałem do Strasburga. Miasto mnie olśniło. Przepiękna jest stara część nad rzeką Ill, zwłaszcza tak zwana „Mała Francja” (*la Petite France*). Stare domy o szachulcowej konstrukcji odbijają się w wodzie. Najpiękniejszym przedstawicielem tego renesansu nadreńskiego jest dom zwany *Kammerzell* z XV, o jednej kondygnacji kamiennej, trzech drewnianych i dwóch na poddaszu. W pobliżu Świński Rynek (*Place du Marché aux Cochons*) otoczony pięknymi domami o konstrukcji szachulcowej. W głębi gotycka, jednowieżowa katedra z XIV. Wysoka, smukła wieża ma 142 m wysokości i była swego czasu najwyższą wieżą w Europie. W katedrze wspaniały zegar astronomiczny oraz rozeta o dwunastometrowej średnicy. Witraż przedstawiający Judasza patriarchę tworzy w pogodne dni zrównania dnia z nocą tak zwany zielony promień nad słońcem. Wielkie organy mają 24 m wysokości.



Katedra św. Benigna w Dijon

Gotycki kościół Świętego Jana Chrzciciela pochodzi z XV w. i został odbudowany w latach 60. XX wieku po zbombardowaniu. Tak zwane „mosty kryte” nad Illem, z dwiema potężnymi wieżami, były zbudowane w XIII w. Stara komora celna (*Douane*) w XIV w., a dawna rzeźnia w XVI w. Dawny pałac biskupi (*Palais des Rohan*) w wieku XVIII, zaś Opera w XIX. Pod koniec XIX wieku Strasburg należał do Niemiec i kwitła tu tak zwana architektura „wilhelmińska”, do której zaliczamy Pałac Reński

(*Palais du Rhin*), neorenesansową Bibliotekę Narodową i Uniwersytecką (*Bibliothèque Nationale et Universitaire*) oraz Pałac Uniwersytecki (*Palais Universitaire*).



Mała Francja. Strasburg.

W **Nancy** najwspanialszy jest Plac Stanisława (*Place Stanislas*), a pośrodku, pomnik króla Stanisława Leszczyńskiego, który był księciem Lotaryngii. Niesłychanie eleganckie budynki, stojące bardzo regularnie, z zachowaniem wszelkich proporcji. Plac nowocześnie połączył ze sobą dwa inne place, a tym samym różne dzielnice miasta. Zbudowany został w latach 1751-1755, a

jego architektem był Emmanuel Héré. Na placu ratusz i budynek opery z tego samego okresu, plus sześć pięknych rokokowych złożonych bram wykonanych przez artystę o nazwisku Jean Lamour. W dekoracji bram wyobrażone liście dębu, gałązki oliwne i kwiaty lilii. Oprócz tego, dwie rokokowe fontanny, fontanna Neptuna i fontanna Amfitryty. W jednej z bocznych ulic elegancki Łuk Triumfalny, czyli Brama Héré (*Porte Héré*), który najpierw wchodził w skład murów obronnych. Wzorem był tu łuk Septymiusza Sewera w Rzymie. Na górze posągi Ceres, Minerwy, Herkulesa i Marsa. Na akroterionie trzy złote postaci: symbolizująca Lotaryngię kobieta i geniusz trzymają medalion z wizerunkiem Ludwika XV, a skrzydlata bogini Renoma dmie w trąbkę. Pod nimi łaciński napis: *Hostium terror. Foedorum cultor. Gentisque decus et amor* (Strach dla wrogów. Artysta traktatów. Chwała i miłość swych ziomków). Mieszkańcy **Nancy** uważają ten plac za najpiękniejszy na świecie, a miasto zyskało sobie miano „miasta złotych bram”.

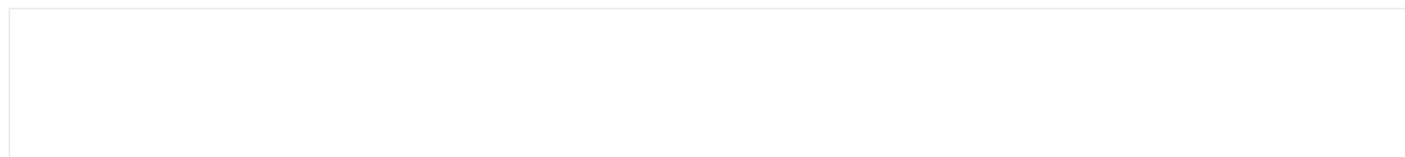


Plac Stanisława, Łuk Triumfalny, Nancy.

Obronna Brama de la Craffe (*Porte de la Craffe*), XIV w., ma nad wejściem podwójny krzyż lotaryński, z górnym krótszym ramieniem i górną galerię do obrzucania wrogów kamieniami. Po bokach potężne późniejsze dwie wieże. Wchodziła w skład systemu obronnego miasta. Brama Świętego Mikołaja (*Porte Saint-Nicolas*) pochodzi z wieku XVI. W górnej części herb księcia René II, otoczony orłami, z których jeden zakłada rycerzowi koronę na głowę na znak zwycięstwa. René II zwyciężył w 1477 pod **Nancy** księcia burgundzkiego Karola Odważnego.

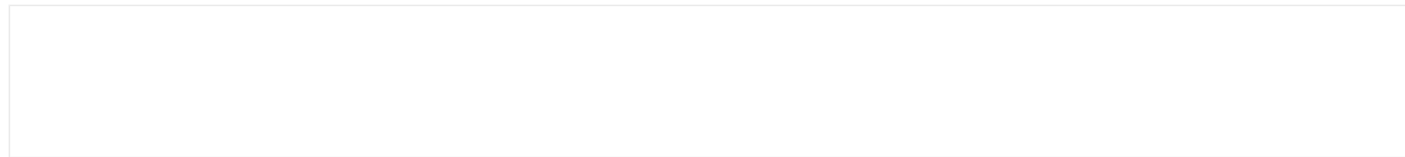
Katedra jest z XVIII wieku. Poza tym kościół Matki Boskiej Wspomożycielki (*Notre-Dame-de-Bonsecours*) też z XVIII, gdzie znajduje się grób Stanisława Leszczyńskiego, a także serce jego córki, królowej Francji, Marii Leszczyńskiej. Niedaleko Placu Stanisława, utworzony przez niego park de la Pepinière, czyli szkółka.

Fotografie autora oraz z serwisów Flickr i Pinterest



Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów. Ukazują się w drugi czwartek miesiąca.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją magazynu „Culture Avenue”.



Galeria



Cluny. Opactwo.



Cluny. Wieże i dzwonnice Opactwa.



Dom Międzynarodowy, gdzie mieszkałem w 1971-72. Miasteczko Uniwersyteckie w Paryżu.



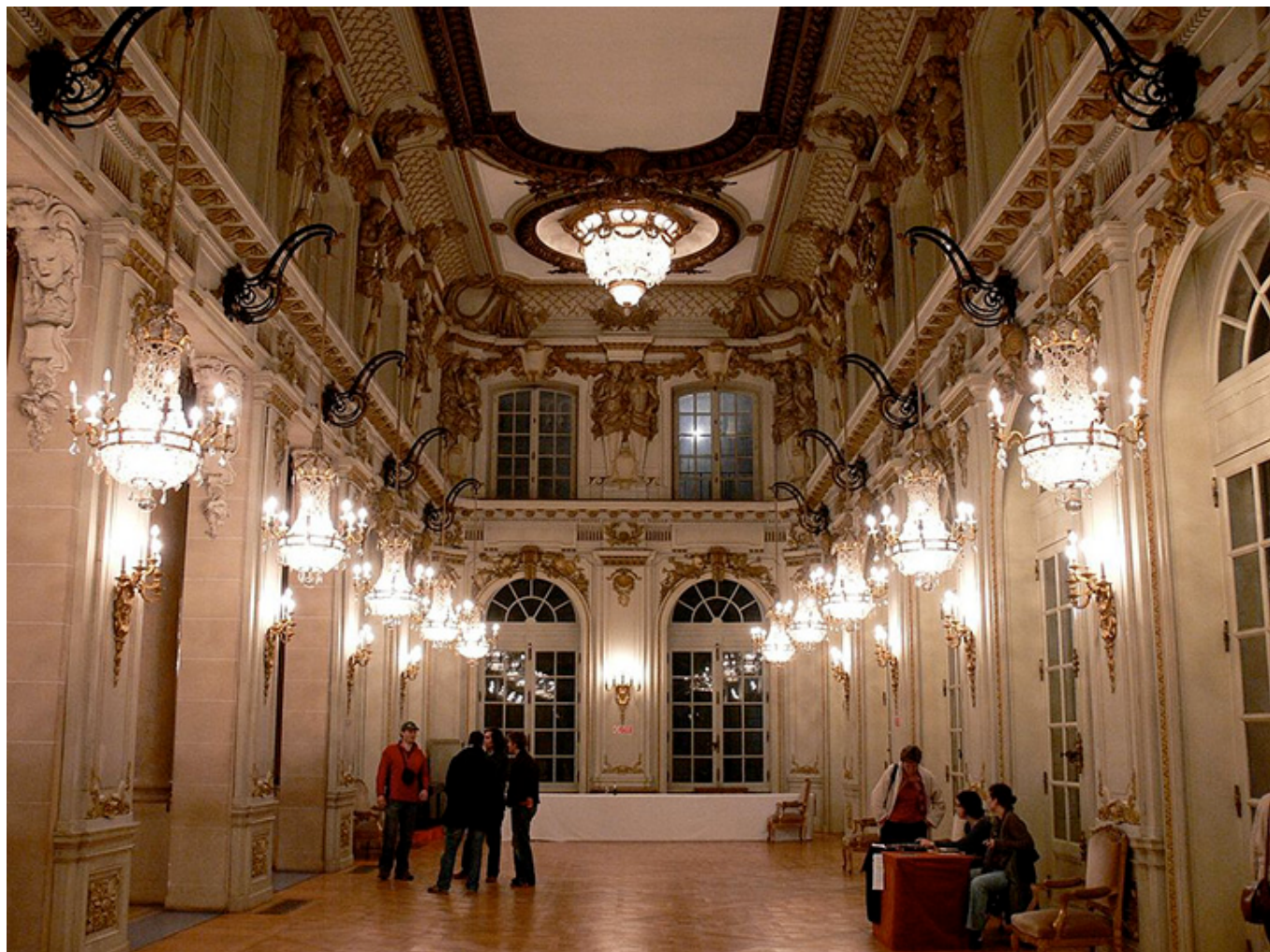
Bukiniści nad Sekwaną



Fasada Pałacu Papieskiego w Awinionie



Fontanna Neptuna przy Placu Stanisława w Nancy



Foyer Opéry w Nancy



Krajobraz francuskiego Kraju Basków (Bosdarros)



Kwadratowy Dom w Nîmes



Łuk Triumfalny Karuzeli. Paryż.



Narodowa Opera Lotaryngii w Nancy



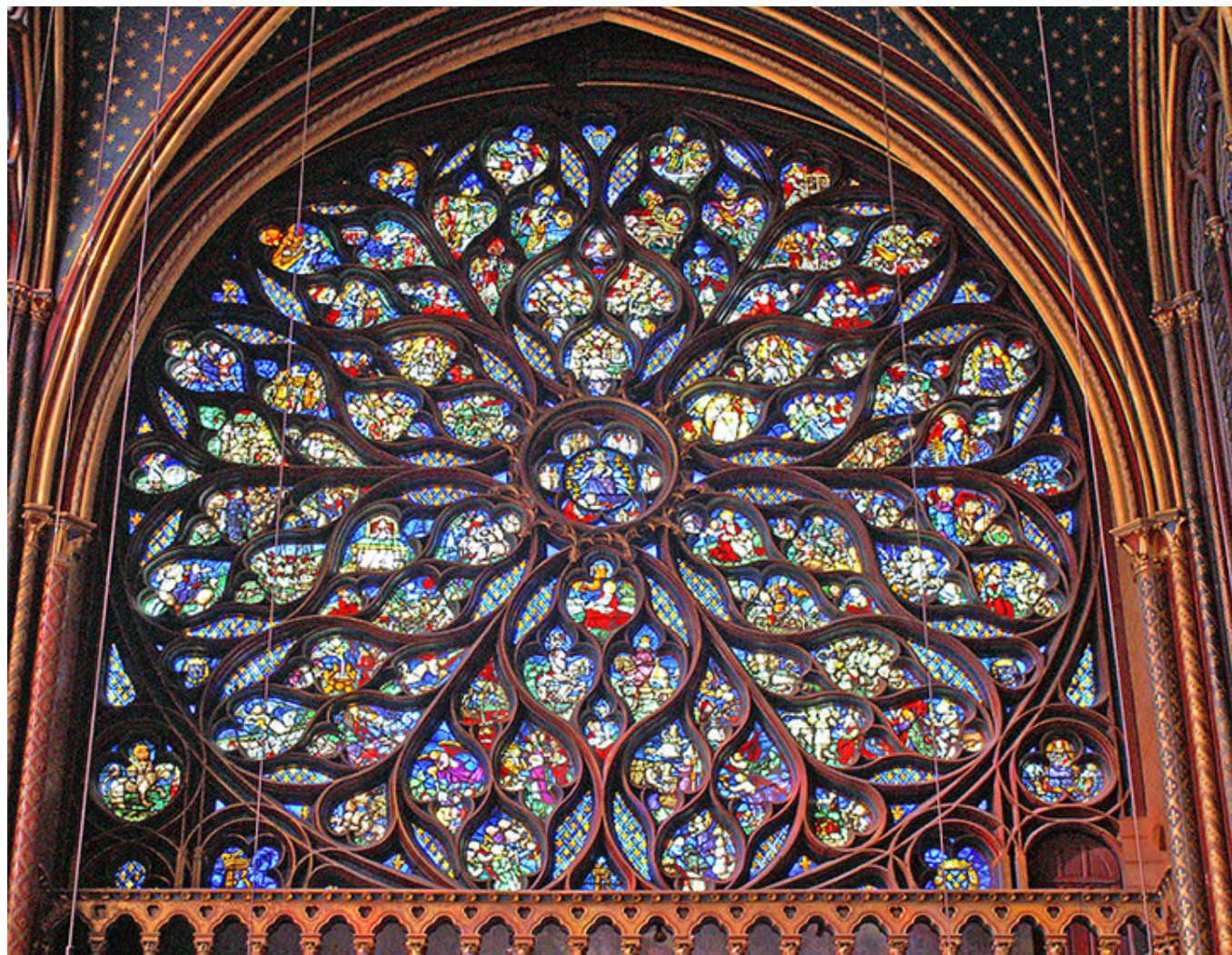
Ogród i Pałac Luksemburski w Paryżu



Plac Sorbony



Plac Stary Targ w Rouen (Normandia)



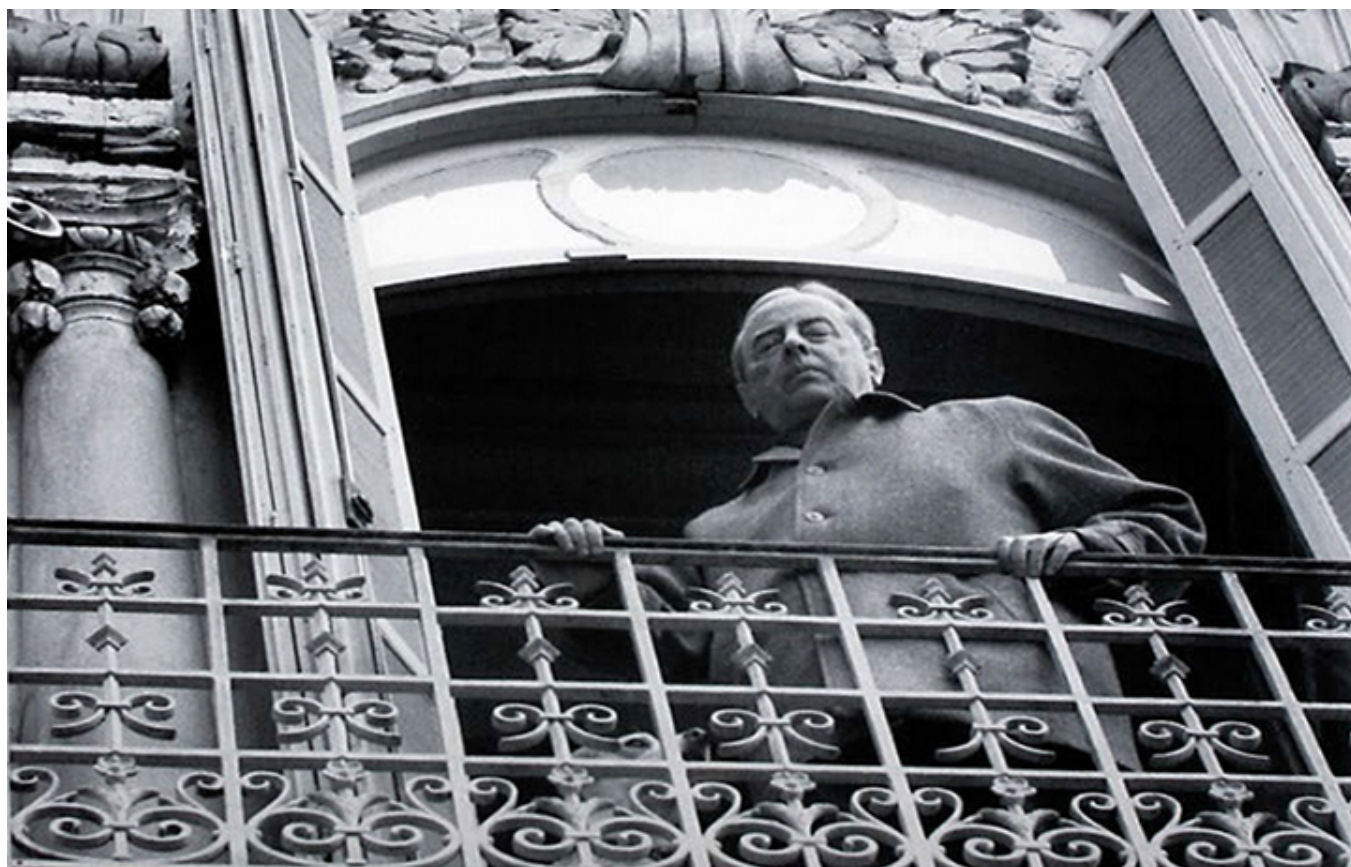
Rozeta w Świętej Kaplicy w Paryżu



Sorbona

Przestrzeń Muzealna Witolda Gombrowicza

w Vence we Francji



Witold Gombrowicz na balkonie wili Alexandrine w Vence, fot. materiały prasowe.

Kazimierz Głaz (*Toronto*)

Świat w tym roku obchodzi rocznicę wielkiego wydarzenia – 50-tą rocznicę lądowania człowieka na księżycu oraz 50-tą rocznicę śmierci polskiego pisarza, Witolda Gombrowicza, który zmarł w małym historycznym miasteczku Vence, na południu Francji. (W. Gombrowicz zm. 24 lipca 1969 r., przyp. red.).

W Vence, w willi Alexandrine, w której w latach 1964-1969 Witold Gombrowicz mieszkał z żoną Ritą, 23 września 2017 roku została otwarta Przestrzeń Muzealna poświęcona jednemu z najważniejszych polskich pisarzy XX wieku, autorowi „Ferdydurke”. Otwarcia dokonała Rita Gombrowicz, żona pisarza.

Przestrzeń Muzealna Witolda Gombrowicza została utworzona ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Prace konserwatorskie w willi Alexandrine przeprowadziło Towarzystwo Przyjaciół Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie ze środków Programu Ministra, Ochrona Dziedzictwa Kulturowego za Granicą. Konserwacją elementów malarskich willi zajmowało się ponad trzydziestu polskich artystów przez kilka miesięcy.

Willa z 1911 r. w stylu *belle époque* została zakupiona przez miasto Vence w roku 1988. Niegdyś była uznawana za perłę architektury, nieodnawiana przez lata, popadła w zaniechanie. W 2017 r. remont przeprowadziły władze miasta Vence.

To tu, w tym pałacu, jak zwykł mówić pisarz, mieszkający na drugim piętrze, gdzie było pięć balkonów i pięć wspaniałych widoków oraz sufity malowane w różyczki, miały miejsce wydarzenia o historycznym dziś znaczeniu.

Opublikowane ostatnio w tym internetowym magazynie moje wspomnienie o historii jednego z niewielu autentyków, czyli o

obrazie nazwanym potężnym dziełem sztuki wywołało spore zainteresowanie, ale też podejrzenie o nieskromność malarza. Potrzebne jest wyjaśnienie skąd to się wzięło. A było tak.

Kiedy Gombrowicz razem z Ritą przyjechali do mojej pracowni w Fundacji Michaela Karolyi, gdzie mieszkałem przez trzy lata dzięki mojej znajomości języka węgierskiego, by wybrać obraz do odnowionego mieszkania, w czasie oglądania wywiązała się typowa rozmowa o sztuce i obrazach/

- Obrazy są dobre do zakrywania dziur w ścianie, powiedział żartobliwie i prowokująco.

- Ha, ha , to w takim razie nie dam nic. Pana ściany, po remoncie są czyste i nie potrzeba niczego zakrywać.

- O, widzę, że przesadziłem, to potężne dzieła sztuki powiedział patetycznie i zamachał rękami pokazując, które wybiera, a Rita zabierała je już do samochodu. Stąd pochodzi to „potężne dzieło sztuki”, użyte później w moim liście gratulacyjnym.

Moje zapiski z tamtych czasów miały być drukowane w wydawnictwie Ossolineum we Wrocławiu. Przeleżały tam zapomniane osiem lat. Takie były czasy i trzeba było dobrych przypadków i zmian politycznych by trafiły do Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. Wydano je w 30 tysiącach egzemplarzy

wraz ze znanymi książkami pisarza w 1985 r. Było to w pewnym sensie takie miejscowe lądowanie Gombrowicza w księżycowym klimacie.

Toronto, 20 .7. 2019.



Okładka książki Kazimierza Głaza „Gombrowicz w Vence”, 1985 r.

Kazimierz Głaz o Witoldzie Gombrowiczu:

<https://www.cultureave.com/to-potezne-dzielo-sztuki-powod-malowanach-gratulacji/>